

# SPRZEDAWCA

# LODÓW

Przełożyła Iwona Kiuru



# KATRI LIPSON



SPRZEDAWCA LODÓW



Katri Lipson

# SPRZEDAWCA LODÓW

Z języka fińskiego przełożyła Iwona Kiuru



Z dedykacją dla celnika z granicy czechosłowackiej,  
spotkanego latem 1974 roku

I

## Filmowanie życia

„Nigdy nie widziałam w Polsce zabijania – ani żołnierzy, ani cywilów”.

LENI RIEFENSTAHL





Zażądałam scenariusza. Reżyser stuknął się w głowę: mam go tylko tutaj. Nie ustąpiłam. Wziął długopis i czystą kartkę, skreślił parę linijek pismem celowo tak niechlujnym, abym nie zdołała odczytać nic poza wielokropkiem kończącym ostatnim zdanie.

– Więc się zakochują – stwierdziłam natychmiast.

– Jak to?

Zabrał mi kartkę, zmarszczył czoło.

– No tak, wielokropek...

I cóż nam po scenariuszu? Uprzytamniam to sobie, kiedy już leżę pod reżyserem na sofie. Wystarczy spojrzeć na pojedynczy ornament bordiury w pokoju hotelu Pełnia Księżycy i staje się jasne, że nie ma tu śladu tajemnic; wszystko tak niezręczne i przezroczyście, że wstyd cię ogarnia w imieniu Boga, a ludzi żal.

Wczoraj wszyscy byli na mnie źli. Straż przyjechała na sygnale. Potworne zamieszanie.

– Gdzie się pali?

– Nigdzie.

– To już trzeci raz.

– Co tu się znowu dzieje?

– Panna Zachovalová ogłosiła alarm, nim zdążyliśmy ją powstrzymać.

– Mamy lepsze zajęcia niż latać tu bez powodu.

Na próżno próbowałam się usprawiedliwiać:

– Tu śmierdzi dymem! Czy nikt inny nic nie czuje?

Nie sprawdzili nawet przewodów. Obejrzałam ich kaski. Miały wgniecenia z czasów wojny krymskiej. Strażacy zbierali się już do wyjścia. Zażądałam, by zrobili obchód.

– Spróbujmy się wszyscy uspokoić – powiedział reżyser.

A strażacy:

– Panna Zachovalová z pewnością doskonale rozumie, że jeśli taka sytuacja powtórzy się zbyt wiele razy, to nikt nie zechce pofatygować się z pomocą, gdy kiedyś zaistnieje prawdziwa potrzeba...

A usmażcie się wszyscy razem na ogniu piekielnym! Tam wam będzie płonąć! Tam *nic* nie będzie niejasne!

Ktoś mnie dręczy. Ktoś wie, że ze wszystkich rzeczy świata boję się tylko dwóch: ognia i przeciętności. A w strachu przed ogniem nie ma nic przeciętnego! Zanim weszłam do garderoby, ktoś na pewno palił tam zapalki. Całe pudełko. Z premedytacją. Kto robi takie rzeczy? Reżyser zarzekał się, że nikt. Zajrzałam do kosza na śmieci: był pusty. Chociaż się pali zapalki, nie znikają przecież całkowicie, tylko się zwęglają. Dlaczego w koszu nie było niedopałków zapalek? Ani na podłodze? Nigdzie. Raczej nikt nie schował ich sobie do kieszeni? Chyba że specjalnie zaciera po sobie wszystkie ślady, aby mnie dręczyć. Może ktoś poszedł na papierosa – tłumaczył reżyser. Ale tam nie śmierdziało papierosami. Ja wiem, co śmierdziało.

Dzisiaj ja i Martin Jelínek. Po raz pierwszy. Bitą godziną wałkowania tego samego, najpierw z kartek, potem bez.

– „Nazwisko?”

– „Esther Vorszda”.

– „Data urodzenia?”

– „Pierwszy maja tysiąc dziewięćset dwudziesty drugi”.

– „Miejsce urodzenia?”

- „Ołomuniec”.
- „Obywatelstwo?”
- „Czeskie”.
- „Stan cywilny?”
- „Mężatka”.
- „Małżonek?”
- „Tomáš Vorszda”.
- „Miejsce urodzenia małżonka?”
- „Pilzno”.
- „Obywatelstwo małżonka?”
- „Czeskie”.
- „Data urodzin małżonka?”
- „Dziesiąty lipca tysiąc dziewięćset dwudziesty pierwszy”.
- „Miejsce urodzenia małżonka?”
- „Pilzno”.
- „Obywatelstwo małżonka?”
- „Czeskie”.

Co jakiś czas Martin wariował. Był rzeczywiście trochę zdenerwowany. To był nasz pierwszy raz. Słyszał o mnie. Ale ja o nim jeszcze więcej.

- „Obywatelstwo małżonka?”
- „Czeskie”.
- „Obywatelstwo małżonka?”
- Mówiłam przecież, że czeskie.

Wtedy zaczęliśmy znowu od początku. Za piątym razem drobna wariacja:

- „Nazwisko?”
- „Tomáš, już nie...”
- „Nazwisko!”
- „Nie mam już siły”.
- „Jeśli nie masz siły ze mną, to jak zdołasz z nimi?”

Przeskoczyliśmy do dzieci:

– „Czy mają państwo dzieci?”

– „Nie”.

– „Dlaczego nie?”

– „Mąż nie chce”.

– „Zawsze może się zdarzyć wpadka”.

– „Nie zdarzyła się”.

– „A ty chcesz?”

– Oni nigdy nie zwracają się do siebie per ty, Tomáš, nawet do szczurów. Szczury właśnie tytułują panami.

– „Proszę odpowiedzieć na pytanie: Czy chce pani?”

– „Tak”.

– „Po raz ostatni: Kto jest pani mężem?”

– „Ty nim jesteś”.

Martin milknie, wpatruje się w kartkę.

– Tu jest napisane „Tomáš Vorszda”.

– Gdzie?

– Ty nie masz „Tomáš Vorszda”?

– Owszem.

– Więc czy nie powinnaś odpowiedzieć „Tomáš Vorszda”?

Nie patrzy na mnie, tylko na reżysera. A ten niespodziewanie się odzywa:

– Właściwie panna Zachovalová ma rację. To lepszy pomysł.

Wrywa nam z rąk kartki, skreśla całe linijki, bazgrze coś.

– No już, od początku!

– „Po raz ostatni: Kto jest pani mężem?”

– „Ty nim jesteś”.

– „Czy tak odpowiadasz temu, kto cię przesłuchuje?”

– „Tak odpowiadam tobie”.

Przerwa. Trwa zbyt długo, ale Martin musi czekać, bo następna replika należy do mnie.

- „I co teraz?”
- „Spróbuj sobie przypomnieć”.
- „A wtedy? Dokąd pójdziemy?”
- „Gdzie indziej”.
- „Gdzie się spotkaliśmy?”

Cisza. Trzeci głos w tym samym pomieszczeniu: „Nie spotkaliście się w każdym razie tutaj”.

Esther i Tomáš Vorszda uciekają. Ja jestem Esther. Martin to Tomáš. W samochodzie jest jeszcze drugi mężczyzna, ale on ma służyć tylko do prowadzenia auta, którym uciekamy. Jedziemy przez pola w samo południe, panuje przeraźliwy upał. Okolica staje się bardziej górzysta, pojawiają się drzewa iglaste, zakręty. Żadnych dialogów. Docieramy do niewielkiej wioski z dworcem kolejowym. Pierwsze repliki. Powinniśmy ruszyć w dalszą drogę, ale coś się stało. Esther źle się czuje, Tomáša ogarniają wątpliwości, kierowca liczy tylko na szybkie rozwiązanie. Potem Esther i Tomáš zostają we dwoje, idą piaszczystą drogą. Dźwiganie walizek. Te niesione przez Tomáša ważą tony, Esther ma leciutką. Ja jestem Esther. Martin to Tomáš. Esther idzie za Tomášem. Reżyser rozkazuje mi: „Patrz na Tomáša”. Patrzę na Tomáša, ale reżyser wrzeszczy: „Patrz na Tomáša!”. Nagrywają moją twarz, żeby wszyscy widzieli, jak Esther na niego patrzy. Martin to Tomáš, ale ja widzę tylko Martina. Widzę plecy Martina, tył białej koszuli, ciemne spodnie, kark, włosy. Jedyna myśl w mojej głowie: Jakim cudem ta koszula jest nadal taka biała?

Po tej scenie asystent wkłada walizki z powrotem do samochodu. Martin ma na dłoniach pęcherze. Pytam asystenta, co jest w tych dwóch walizkach. Napchali tam, co tylko znalazło się w zasięgu ręki, jeśli było ciężkie. Reżyser nie chce, żebyśmy wiedzieli, co Tomáš taszczy w swoich bagażach.

Filmowanie scen odbywa się w porządku chronologicznym. Reżyser musi tak robić, ponieważ nie możemy zobaczyć przyszłości. Mam go na oku, odkąd przybyliśmy na miejsce nagrań. Zapisuję sobie wszystko w pamięci. Reżyser „przechadza się” w pobliżu domu, „zasiada” na dłużej niedaleko kozła do cięcia drewna, „wystaje” przy beczce na wodę deszczową. Idzie z Martinem do drewnutni. Kiedy wychodzą, Martin trzyma w ręce piłę. Reżyser zerka na nią z zadowoleniem, chociaż piła jest całkiem zardzewiała. Kiedy stoimy przed domem pani Němcovej, zapatrzeni w piękne wyżyny, odzywam się z pełną premedytacją:

– Na szczęście są chociaż góry. Sterczą tutaj od tysięcy lat. Na szczęście na nie nic nie poradzisz... – Reżyser kiwa tylko głową, jakby to go nie dotyczyło.

Idę sprawdzić drewnutnię. Półmrok zalatujący pleśnią. Były tam tylko zardzewiałe narzędzia. Martin zerknął do środka. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, powiedziałam do niego: „Tomáš, już nie...”.

Zareagował natychmiast: „Jeśli nie masz siły ze mną, to jak zdołasz z nimi?”.

Jak nóż w serce, słowa promieniowały do ud. Potem lekki uśmiech i Martin zniknął ze szpary w drzwiach, pochłonięty przez światło.